

Zmysłowe usta, mężczyźni zdominowani. Finał Dni Sztuki Współczesnej.

Kuszące usta, nadmiar słodczy i hipnotyzująca choreografia w japońskim stylu. Do tego białoruska opowieść o chęci dominacji nad drugim człowiekiem i debiutancki film fabularny jednego z najważniejszych polskich artystów - o wdarciu się cywilizacji w utopijny świat. Trzy mocne, trzy różne propozycje zafundowały nam na finał Dni Sztuki Współczesnej. Jeden z najważniejszych białostockich festiwali zakończył się w niedzielę (22.05) przed północą.

Spotkania z szeroko pojętą sztuką współczesną - w postaci spektakli i filmu - Białostocki Ośrodek Kultury zorganizował w trzech różnych miejscach, w kooperacji z różnymi instytucjami. Zazębiały się o siebie, jako że w programie znalazły się też spotkania z artystami, i by zdążyć na wszystko, nie sposób było być do końca na wszystkim. Trochę szkoda, zwłaszcza, że pomysł spotkań z twórcami z każdym rokiem w kontekście DSW ma się coraz lepiej. A one same stają się ciekawym i nieodzownym punktem festiwalu, czasem wychodząc poza swoje ramy (jak dzień wcześniej podczas spotkania z twórcami spektaklu „Projekt: Matka”, kiedy to spektakl wyzwolił w widzach dużą chęć, by dzielić się swoimi doświadczeniami).

Zmysłowe usta i przesyt

Piękne wizualnie widowisko, zachwycająca precyzja każdego gestu, czystość i surowość, a przy tym - opowieść o przesycie i nadmiarze - to „Desert Rose” - spektakl TO-EN Butoh Company. Polska tancerka butoh, kryjąca się pod pseudonimem TO-EN (Ziemia-Ogród), ucząca się długo u szwedzkiej artystki, zaprosiła widzów do wysublimowanego świata dźwięków, kolorów i oczywiście sugestywnego tańca butoh. Tylko ona jedna na operowej scenie, w tle kuszące, połyskujące sokiem olbrzymie usta lub na przemian stroboskopowe światła i niepokojąca muzyka. Postać w długiej sukni przesuwaną się po scenie ledwo dostrzegalnym wystudiowanym ruchem - hipnotyzuje.

Jest w niej coś fascynującego: rozcapierzone dłonie, misterna fryzura, upięcie włosów i linie w przestrzeni kreślone ciałem. Miękość i płynność ruchów, odpowiednie ułożenie ciała, wydaje się płynąć naturalnie z wnętrza artystki, jednak taki efekt okupiony jest wieloletnią ciężką pracą. Tu nie ma zbędnych gestów, każdy jest czysty i intrygujący, wszystkie razem

budują sugestywne obrazy: kojarzą się z ewoluującą rośliną, wewnętrznym przetwarzaniem, intensywnością.

Skojarzeń jest zresztą więcej, są już nie tylko roślinne, biologiczne, ale też zmysłowe, erotyczne, symboliczne. Cały spektakl narodził się z inspiracji estetyką glamour i różą pustyni - rośliny, która oszałamia pięknem, ale też zdaje się być efemerycznym, jednorazowym zjawiskiem na pustynnym tle. Artystka te inspiracje przekuła w spektakl i tak powstała historia bez jednego słowa - o pokusie uwodzenia, o nadmiarze, przesyconiu ogromem bodźców oferowanym nam przez świat.

Pisuary na wysokości twarzy

O zupełnie innych zjawiskach współczesnego świata opowiadał spektakl białoruskiego Korniąg Theatre, prowadzonego przez jedną z najważniejszych - jeśli nie najważniejszą - postaci niezależnego teatru na Białorusi - Jauhiena Korniąga. Jego spektakle pełne są buntu i niezgody, ostro diagnozują społeczne mechanizmy. W najnowszym - „The Latent Men” - scena Białostockiego Teatru Lalek zamienia się w postapokaliptyczną, industrialną przestrzeń, w której ogólnie przyjęte standardowe zachowania społeczne zostały odwrócone, wywrócone do góry nogami. Trzy kobiety (wśród nich m.in. Swietłana Anikiej, znana m.in. z tytułowej roli w spektaklu „Sońka” Teatru Dramatycznego), pięciu mężczyzn. One - dość agresywne i traktujące mężczyzn instrumentalnie, ale w sumie szukające tego jedyne właściwego, tylko w dość ekspansywny sposób. Oni - infantylni, bezwolni, pasywni. Obnażeni do bokserek, są poniekąd szkoleni, ćwiczeni przez elegancko ubrane kobiety, których strój z czasem zaczyna się kojarzyć z uniformem. W poszczególnych scenach z trudem układających się w jakąś fabułę, widać opresyjność sytuacji, w jakiej się znaleźli. To rzecz o dominacji kobiet nad mężczyznami, którzy nieoczekiwanie zostali wtłoczeni w sytuację do tej pory przypisywaną wyłącznie kobietom.

Inspiracja fobiami dotyczącymi płci kulturowej i biologicznej idzie jednak dalej - spektakl opowiada też, w szerszym wymiarze - o dominacji człowieka nad drugim człowiekiem bez względu na płeć. A także o pewnym buncie wobec obowiązujących mechanizmów społecznych.

Młodzi aktorzy mieli trudną rolę - i kondycyjnie, i ze względu na trudność w przełamywaniu stereotypów i używaniu gestów na co dzień dalekich od przyjętych zachowań męskich. Podskakują, chodzą na szpilkach, poddają się rozkazom kobiet, są całkowicie bezradni, również w mierzeniu się z absurdami codzienności (w spektaklu ich przykładem są choćby zawieszane na wysokości twarzy pisuary). Zgrzytliwa, chropawa i industrialna muzyka jeszcze bardziej podkreśla tę nieoczywistość i kuriozalność.

Urządnik i zaginione plemię

Pewne socjologiczne tło bada też w swoim filmie „Walser” - Zbigniew Libera, jeden z najważniejszych polskich artystów, zaproszony na festiwal przez Galerię Arsenał. Libera postanowił nakręcić film o zaginionym plemieniu Conteheli, żyjącym na obrzeżach cywilizacji. Pewnego dnia trafia tam Walser, zasadniczy urzędnik kolejowy. Tak oto do utopijnego świata wdzierają się cywilizacja. I choć Walser ma dobre intencje - jego przybycie niesie zagrożenie i destrukcję. Libera buduje swój film trochę jak puzzle łącząc różne gatunki - western, filmy w stylu „Walka o ogień”. A w warstwie symbolicznej - snuje wizję o końcu pewnego świata.

- Jesteśmy przyzwyczajeni, że polskie kino jest realistyczne. I to mnie trochę nudzi. Jak ja mam oglądać w filmie jakąś opowieść, na którą muszę iść do kina, a słyszę ją przez okno i na ulicy, to już wolę zrobić film taki, w których jest jakaś historia, niemożliwa do zobaczenia bez udziału kamery. Ale ta historia odnosi się do rzeczy, które znamy. Jest trochę mistyczna, inspirowana jest innymi filmami, jak np. „Tańczący z wilkami”, „Człowiek znany koniem” - mówił Zbigniew Libera już po filmie na spotkaniu z widzami.

- Czy ten film mógłby istnieć bez Walsera? - dopytywał się prowadzący spotkanie w kinie Forum Jakub Socha.

Libera: - Jak mówi Andrzej Wajda - by coś było jakies, to drugie musi być inne. Walser jest nieodzowny - po to, by pokazać innych, ich transparentność.

Opowiadał, że film był kręcony w Słowenii. I że język, którego musieli się nauczyć aktorzy naturszczycy, specjalnie do filmu napisał Robert Stiller, wybitny tłumacz, mówiący w 20 językach. Na potrzeby filmu wymyślił język zbliżony do malajskiego.

- Także wiedzą państwo, gdyby teraz na widowni zasiadł mieszkaniec Malezji, to mniej więcej mógłby coś między wierszami zrozumieć - jak Polak mniej więcej Chorwata - mówił Libera.

I jeszcze wspomnienie o minionych festiwalowych dniach:

Festiwalowy tygiel. Dzicy na rynku, Calineczka i pampersy

Spotkanie w prywatnym mieszkaniu, klatka z dzikimi na Rynku, klimaty liryczne i demoniczne, dobra muzyka, powroty do źródeł i tematy, które mogą uwierać. Spektakle często wychodziły poza ramy gatunku i przekraczały granice. Nawet percepcji, bo zdarzało się, że to, co widzieliśmy, okazywało się czymś zupełnie innym.

To była ciekawa edycja Dni Sztuki Współczesnej, choć nie łączył jej wyraźny klucz, z czego zresztą organizatorzy zrezygnowali świadomie, uznając, że ogranicza to ich pole działania. Ale w sumie w ofercie kilkunastu wydarzeń przygotowanych przez Białostocki Ośrodek

Kultury można było znaleźć pewne paralele i punkty styeczne. Twórcy proponowali projekty oparte na konfrontacji z Innym, wciągali widzów w interakcję, a reakcje tych ostatnich wpływały czasem na kształt spektaklu. O zetknięciu Obcego z Miejscowym opowiadał choćby performance „Les Squames”, kompletnie dezorientujący widzów na w centrum miasta, spotkanie w prywatnym mieszkaniu („Pobyt tolerowany”), czy film Zbigniewa Libery „Walsler”.

Charakterystyczne dla tej edycji było koprodukcje (Teatr Malabar Hotel i Teatr Studio, Teatr Kana i Teatr Szwalnia) oraz łączenie składów i pokoleń (Teatr Montownia i Teatr Papahema). Dobrze się stało, że właśnie na festiwalu, który od ponad 30 lat stanowi jedno z najważniejszych kulturalnych przedsięwzięć Białegostoku, zobaczyć można białostockie grupy, które na co dzień, nie mając własnej siedziby, nie grają w Białymstoku za często. I niestety, krok po kroku, powoli się stąd wymykają. Dzięki DSW podczas jednej edycji zobaczyć mogliśmy spektakle grup, z których powinniśmy być dumni - jak: Teatr Malabar Hotel, Grupa Coincidentia czy młoda, ale już wyrazista Papahema.

Tradycyjnie najwięcej było teatru - eksperymentującego, z pogranicza alternatywy i tradycji, łączącego klasykę z nowatorskimi formami przekazu.

Plemię homo sapiens ogląda inne plemię

Eksperyment szedł czasem bardzo daleko, jak w przypadku performance francuskiej grupy Kumulus, która na Rynku Kościuszki ustawiła potężną klatkę. W niej zaś - stworzenia z nabiegłymi krwią oczyma, zdeformowanymi głowami, popiskującymi i pochrząkującymi. Wystarczyła godzina, by zorientować się, że wielu przechodniów gotowych jest uwierzyć w krasnoludki, a tym bardziej w to, że gdzieś w górach ciągle żyje dziwne plemię Skłamów. I że właśnie w obwoźnej klatce przywieziono je do Białegostoku.

Fantastyczny projekt dobitnie pokazał, jak reagujemy na inność, jak z fascynacją przyglądamy się temu co dziwne, niezwykłe. Francuzi prostym zabiegiem dogłębnie obnażyli pewne społeczne mechanizmy, myślowe stereotypy, a także fakt, że jedni są bardziej podatni na czyjeś opowieści dziwnej treści, a inni mniej. Performance w pewnym sensie, nie zajmując się zupełnie polityką, okazał się być polityczny i na miarę naszych czasów - dowiódł, jak niektórzy dają sobie wmówić to i owo.

Happening w klatce to jedno. To, co działo wokół klatki - reakcje, próby zrationalizowania, a często też bezrefleksyjna wiara w to, co jest na klatce napisane - to zupełnie inna kwestia. Oglądanie „dziwów”, zamieniało się powoli w odrębny spektakl, w którym to plemię homo sapiens komentujące na zewnątrz klatki stawało się poniekąd bohaterem przedstawienia. Słuchanie tego, co oglądającym może przyjść do głowy, niekiedy wprawić mogło w zdumienie. Tak oto performance na żywo formułował pewną społeczną diagnozę i stawał się socjologicznym cymesem. Choć wnioski zeń - raczej gorzkie.

Mamienie widza

O Innym, Obcym, ale w zupełnie inny sposób, bo w kameralnej grupie, w prywatnym mieszkaniu opowiadał projekt „Pobyty tolerowany”, Teatrów Kana i Szwalnia. Uczestnicy usiedli wokół stołu, jedli, a spektakl stawał się zaś nietypowym tygłem gatunków: spotkaniem, rozmową na temat czeczeńskich uchodźców, teatrem cieni, słuchowiskiem, monitorowaną pogawędką, która co i rusz skręcała w różne rewiry. I za każdym razem przybierała inny kształt, w zależności od tego, jaka grupa widzów-uczestników, z różnym światopoglądem pojawiała się w mieszkaniu.

Bardzo ciekawym doświadczeniem i - pod względem technologicznym chyba najbardziej współczesnym - okazał się spektakl Cloud Theater, który łączył sztukę wizualną, filmową, teatr, a nawet grafikę tworzoną na żywo. I omamił widza tak, iż ten ulegał złudzeniu, że aktorzy na scenie przybierali pozycję wertykalną, choć tak naprawdę pełzali. Obserwowała ich umieszczona nad sceną kamera, od razu rzucała obraz na duży ekran, a grafik dorysowywał na bieżąco przestrzeń, w której się poruszali. Efekt był ciekawy, zwłaszcza, że przy mocnej muzyce teatr przeprowadził widzów przez historię świata - od prapoczątków, aż do jego krachu.

Cloud Theater stosował ekwilibrystykę fizyczną, a Teatr Malabar Hotel - słowną. W spektaklu „Ćwiczenia stylistyczne” aktorzy rozegrali tę samą scenę na 50 sposobów - np. medycznie, rubasznie i onirycznie. I choć spektakl nadmiarem słów miejscami nużył - umiejętności trzech aktorów naprawdę imponowały.

Macierzyński Mordor i Calineczka dla dorosłych

W interesujący mocny i bezlitosny spektakl, okazuje się, można przekuć, tak mało kojarzący się z teatrem temat kup, nieprzespanych nocy i macierzyńskich frustracji. Aktorki z Teatru Kana wykrzyczały to, co większość matek czuje, ale głośno o tym nie mówi. I tak rozemocjonowały widownię, że w godzinę po spektaklu „Projekt: Matka”, część widzów w ogóle nie chciało opuszczać teatru. Podział na aktorów i widzów już dawno przestał istnieć, spektakl przeszedł płynnie w rozmowę o życiu.

Teatry różniące się całym pokoleniem - Montownia i Papahema - przygotowały alternatywną wersję baśni Andersena - historia małej dziewczyneczki, czytana w dzieciństwie dość naiwnie, w ich spektaklu zyskała nowy wymiar. W „Calineczce dla dorosłych” poszli w kierunku upiornej stylistyki (kojarzącej się z „Gnijącą panną młodą” Burtona), ale też w stronę niemego kina, a wszystko to skąpali w finezyjnym sosie ironii, powagi i czułego humoru.

Świetne były też koncerty, wprawiające widzów w sentymentalne, ale i energetyczne nastroje. Lech Janerka przeniósł widzów w czasie, sięgając do swoich utworów z epoki Klausa Mittfocha. Bovska zaprosiła do świata dziewczęcego i melodyjnego electro. Zaś fantastyczny koncert Smolika i Brytyjczyka Keva Foxa, pokazał jak twórcze i inspirujące może być

spotkanie tych dwóch osobowości. I jak songwriterskim klimatem, progresywnym brzmieniem i skandynawskimi pejzażami muzycznymi można rozwibrować słuchaczy, że wychodzili z koncertu jakby byli otuleni światłem i blaskiem.

Nie brakło też innych działań, jak wystawa, street art (na bloku przy Antoniukowskiej 42 pojawił się mural autorstwa rumuńskich grafficiarzy), warsztaty dla dzieci i dorosłych.

Monika Żmijewska

Źródło: *Gazeta Wyborcza*, 23.05.2016